

W bramie domu Georgjew przystanął na chwilę, patrząc badawczo na przyjaciela i zapytał:

— Wiesz co? Nie chce mi się wprost wierzyć! Przyznaję, wygrałeś zakład tysiąc rubli, ale przyznaj się, że to coś niejasnego... Rozumiesz, nie chcę się inaczej wyrazić!

— Jakto niejasnego?

— No, przyznaj się, wiele cię to kosztowało?

— Słowo honoru, ani kopiejki!

— Kłamiesz! W to już absolutnie nie uwierzę!

— Słowo honoru!

— A tak, to wierzę!

W mieszkaniu Georgjewa rozwiązały się przyjaciółom języki, obficie zakrapiane koniakiem. Okazało się, że Georgjew posiadał gotówkę, odpadł zatem projekt sprzedania klejnotów. Pod wieczór wypłacił Georgjew tysiąc rubli Politowowi i zęgnął się poczęli serdecznie, bowiem już tegoż dnia Georgjew miał udać się do koszar wojskowych.

— No, — przy pożegnaniu przemówił Georgjew — udało ci się, mój Politowie. Nie miałem tego szczęścia, co ty!

— Mogłeś mieć!

— Jakto?

— Gdybyś się był ze mną nie zakładał!

— Nie rozumiem!

— Otóż dałem słowo honoru, że ani kopiejki uwolnienie moje mnie nie kosztowało. To jest prawda, jak również i to, że wcale nie wygrał tysiąca rubli.

— Zatem...

— Uspokój się — przerwał Politow — zaraz wytłumaczę! Otóż te tysiąc rubli muszę zapłacić za to, że mnie uwolnili. Zatem nic nie wygrałem. Założywszy się z tobą, musiałem szukać dróg, aby zakład wygrać. W zamian wzięli ciebie. Uszczerbku przez to armia nie ponosi żadnego, bo z ciebie będzie, przypuszczam, daleko lepszy żołnierz, niż ze mnie. Dyskusja nasza poprzednia rozjaśniła i rozgniewała nas, wynikł z tego zakład. Gdybyśmy zamiast tego, naradzili się wspólnie nad sposobem uniknięcia przykrych rzeczy, byłby i wilk syty i owca cała. Ty miałeś pieniądze — ja znajomości. Nie trzeba było zakładu, tylko wspólnego interesu. Teraz wszystko dla ciebie przepadło. Wybacz moją otwartość, ale człowiek jest zawsze egoistą i więcej siebie kocha, niż drugiego, Sądzę, że przyjaźń...

— Łotrze! — krzyknął oburzony Georgjew i, otworzywszy drzwi na oścież, rzutem rąk i nóg wyrzucił najdroższego przyjaciela na schody.

Politow, stanawszy w bramie, odwrócił się lekceważąco w stronę byłego przyjaciela i mruknął przez zęby:

— Sądzę, że się już nie zobaczymy nigdy!

III.

Niema złego — bez dobrego.

— Cóż tam nowego, Iwanie Iwanowiczu? — przywitał kupca korzennego, Sołodowa, handlarz nierogacizny.

— Co nowego? — odparł zapytany, przysiadając się do stolika Sołodowa — ot, znów zwycięstwo!

— A czyje? — chytrze spytał handlarz nierogacizny, zamawiając jednocześnie u kelnerki piwo.

Iwan Iwanowicz Iwanow pociągnął duszkiem chłodzący napój, obtarł spocone czoło wykwinną jedwabną chusteczką, oglądając się podejrzliwie wokoło. Na sali restauracyjnej, prócz nich, siedziało kilku jegomościów, zagłębionych w czytaniu dzienników. Sołodow pociągnął również wzrokiem, z zachodzącą przypatrując się czytającym dzienniki, rachując w myśli, wiele go codziennie kosztuje nieumiejętność czytania. Ot — rozważał w duszy — dziś dojrzałem trafili na Iwana Iwanowicza. Ten nie wypije więcej, niż trzy szklanki piwa, a opowie wszystko.

Iwanow pociągnął drugi raz chłodzący napój, wypróżnił szklanicę do dna, stawiając ją z rozmachem, miał ochotę zamówić następną, ale go ubiegł Sołodow, giestem ręki nakazując kelnerce napełnienie szklanki, obawiając się, aby przyjaciel jego sam nie zamówił, a tem samem nie skwitował z opowiadania.

— Cóż, czyjeż zwycięstwo? — trąciwszy się szklanką, powtórzył pytanie Sołodow.

— Eh... — odparł zniechęconym głosem Iwanow — nasze!...

Sołodow pokręcił głową, spojrzał nieufnie wokoło sali i odszepnął cichutko:

— Złe!...

— Czemu złe? Przemyśl my wzięli, nasi pod Krakowem!

— Złe! — mruknął Sołodow, bębniąc palcami po stole.

— Rozumiem! — odparł ignorująco Iwanow — Dla was złe, ceny żywego i bitego towaru spadną, trudno będzie skupować nierogaciznę, będą wywozić tam w te zdobyte prowincje, aby dobrze sprzedać.

— Ceny nie spadną — odparł przekonująco Sołodow — ale trudniej będzie skupować żywy towar. Ot każdy, będzie chciał tam wywieźć!

— No, nie każdy tam może jechać. Ot, niema, jak wam. Towar na magazynie leży, sprowadzać można z całej Rosyi, a co kilka dni choćby o kopiejkę wyżej, no to i majątek.

— Dobrze wam gadać. Wy swoje, ja swoje. Wam nie jest złe, ani mnie. Taka wojna, jak teraz, nie prędko znów będzie, człowiek tyle lat pracuje, niczego się nie dorobił.

— Teraz się dorobi! — westchnął głęboko Sołodow — Ot tyle zmartwień, aż życie się przykrzy.

Napełnione szklanki znów wypróżniono, nachylając się ku sobie, zwierzać się wzajemnie poczęli.

— Jak myślicie, Iwanie Iwanowiczu! Długo wojna będzie?

— Bóg wie! Oj, ciężkie teraz czasy!

— Ciężkie!

Iwanow wyciągnął z bocznej kieszeni pomięty dziennik, odczytując niektóre komunikaty i ważniejsze wypadki wojny. Gdy skończył czytać, spojrzał tryumfująco na przyjaciela i spytał:

— Świetne zwycięstwo?

— Złe!...

— Znowu złe?

— No, tyś jest kupiec! To ty nie wiesz, ile ciebie nie jeden świetny interes zdrowia i pieniędzy kosztował.

— No interes, ale nie wojna!

— To wszystko jedno!

Iwanow milczeniem zbył przyjaciela, zagłębiając się w czytanie dziennika. Sołodow przywołał kelnerkę, rozkazując napełnić szklanki. Ale urażony Iwanow nie raczył nawet spojrzeć na pieniący się napój, zagłębiając się w czytaniu.

— No, Iwanie Iwanowiczu! Wasze zdrowie!

— Dziękuję! Nie piję!

— No, czemu wy taki obraźliwy. Napijcie się i czytajcie dalej!

— Powiedziałem — nie będę pił, ani czytać wam nie chcę!

— No, a czemu?

— Bo wam wszystko złe!

— Jak ma być dobrze, jak ja jutro idę do aresztu, aż na sześć miesięcy!

— Co, wy! — zdziwiony Iwanow zapytał, porzucając dzienniki — A to za co?

— Przez to, że właśnie „złe“. Nauczyłem się zawsze tak mówić i teraz idę się oduczyć!

— A, tak — szepnął wzruszony Iwanow — i sądzicie, że wam to coś pomoże?

— O, broń Boże, ani nie przypuszczam — odparł Sołodow, wychylając duszkiem szklankę piwa.

— No, macie słusność — ja przez sześć miesięcy uczyłem się dobrze ważyć w areszcie i ani rusz nie nauczyłem się.

— No, kiedy wy szczery — to i ja będę. U mnie też samo!

— Oj, ta wojna! — westchnęli obaj i rozstali się w zgodzie.



K. KOWALSKI.

Polskie serca.

Przed godziną opuściła salę sądową, a jeszcze widzi to wszystko jak na dłoni: te ostre, złe twarze oficerów rosyjskich i słyszy głos pułkownika, odczytującego jej wyrok: „W imieniu Jego Cesarskiej Mości cara Mikołaja II., skazuje się siostrę pielęgniarkę, Helenę... na dziesięć lat ciężkich robót na Sybirze za uwolnienie z niewoli piętnastu jeńców-Austriaków,

wśród nich dziewięciu Legionistów polskich i za wzbranianie się podania ich miejsca pobytu“.

Zgroza i trwoga zimna przejęła ją na wskroś, gdy czytano jej ten wyrok. I tylko oczu pułkownika nie zapomni nigdy, tych jasnych, przejrzystych i takich dziwnie dobrych, które tak współczująco patrzyły na nią i zdały się mówić: „Wytrwaj! Bądź mężną!“

O, tak! Wytrwaj! Przecież jest tak dumna i szczęśliwa, że przynajmniej tych kilku ocalić mogła; tych kilku dzielnych, walecznych synów Polsce przysporzyć i wybawić z niewoli. Tylko jej żal, że tak niewiele zdziałała i że już skończona jej praca; bo i cóż potrafi uczynić tam daleko, jak pracować dla idei, dla sprawy, wśród tych sybirskich lodów? — I znów dreszcz zimny wstrząsnął ją całą, oparła głowę o krawędź łóżka, które w kącie jej więzienia stało..

Duma nieszczęsna, duma. Nie płacze jednak, tylko myśli o wszystkim, o tem co, przeżyła sama i o tych, co w tej chwili pierś swą w ofierze Polsce w bój krwawy niosą, a na których może teraz grad kul leci; i o tem, że za godzin kilka musi opuścić kraj ukochany i ten Lwów, gdzie swe dziecięce lata spędziła, gdzie w gronie towarzyszy nauczyła się nieść dla dobrej sprawy wszystkie swe chwile wolne i oddać się całą duszą pracy narodowej.

„Wszystko, wszystko to więc porzucić muszę?...“ i ręce jej spłotły się w beznadziejnem, rozpaczem załamaniu.

Po chwili wstała — cóż to? Czy wizja jaka — czyż to zgorączkowana wyobraźnia ukazuje jej matkę ukochaną, mówiącą do niej tak słodko: „Halko! Halko! czyś zapomniała, proście, a będzie wam dane, szukajcie, a znajdziecie, kołaczcie, a będzie wam otworzone!“

Więc usuwa się na kolana i drżąc całą mówi, mówi do Boga: „Boże! Ocal Ty mnie! Boże wybaw! Patrz, jam młoda — ja ginąć nie chcę... Weź mnie w Swą świętą opiekę!“ i więcej mówić nie może. Lecz dusza jej przed tron Boga się wzniosła, tak błagalnie, tak ufnie, że z kłeczek powstała już spokojna i cicha...

Rozbierać się zaczęła, pragnąc bodaj na chwilę usnąć, gdy wtem drzwi się otwarły i wszedł sołdat. „Chodź do pułkownika!“ „Teraz, w nocy?“ zdziwiona zapytała. „Taki rozkaz!“ woła i za rękę ciągnie. Idą przez ciemne, ponure korytarze, aż wkońcu żołnierz się zatrzymał i puka do drzwi. Weszła do obszernej sali, a tam pułkownik, ten sam, który rozprawę prowadził. Skinął na żołnierza, by odszedł, zostali sami. Otworzył drzwi do pokoju mniejszego i wejść poprosił. Zamknawszy szczelnie drzwi, zaczął mówić: „Siostrzo, mnie was żal bardzo. Chciałbym, pragnę ułatwić ci ucieczkę. Słuchaj uważnie! Oto ubiór siostry rosyjskiej; w to ubranie się przebierz, a pod nie wdziej swoje; do Brodów jechać musisz, tam oddadzą ci komisji kontrolnej, ale tylko papiery w ich rękach zostaną! Tobie oficer, mój zaufany wskaże na stacyi pociąg z Rosyi nadjeżdżający, do którego wsiądziesz po zrzuceniu swojego ubioru, no i da Bóg znów szczęśliwie do Lwowa powrócisz. Tu musisz czasowo się ukrywać, a potem, po jakimś czasie, znów będziesz mogła pracować. A jak, to ty wiesz sama najlepiej. Ojczyzna woła i dziś bardziej, niż kiedykolwiek, potrzebuje takich cór, jak ty.“

Helce się zdaje, że śni... trudno w to uwierzyć. Lecz te oczy pułkownika do przytomności ją przywołują. Pochyla się tylko do jego ręki, lecz on nie pozwala jej do ust przytulić, tylko mówi dalej jak ojciec, jak brat: „Siostrzo, siostrzo! Nie dziękuj ty mnie! Podziękuj Bogu tylko, że na twej drodze stanął twój rodak, twój brat! — Losy mię zagnały na Wołyn rosyjski, tam kształcono mię w szkole rosyjskiej, tam rozpocząłem swą karierę wojskową. W żyłach mych jednak płynie krew polska i w piersi polskie serce drga, które Ojczyźnie służyć pragnie, choć nie może... Idź z Bogiem! Bądź Polką zawsze i wszędzie — idź „Ojczyzna woła“ — a ty Jej służyć umiesz!“

I tylko oczy ich się zwały i przylgnęły do siebie mocno, mocno, zda się, na śmierć i życie...

Rozeszli się w milczeniu, lecz ślub ich zawarty w tych czterech pustych ścianach i ta milcząca przysięga zespoliła ich dusze na zawsze, choć się nie spotkają może już nigdy. W piersiach tej dziewczyny, pielęgniarki austriackiej i pułkownika rosyjskiego były polskie serca.

K O N I E C.